

ORĘDOWNIK

NAUKOWY.

Spis rzeczy 48. Numeru: „Przejażdżka od Taśminy ku Rosi, przez M. Gr. List 2gi do Redakcyi Orędownika. (Dokończenie.) — Krytyka: Pamiątki Jana Sewer. Sophcy, nadesłane Red. Orędownika. Wydawcę Powtórnego Wydania tego dzieła.

Przejażdżka od Taśminy ku Rosi

przez M. Gr.....

do Redakcyi Orędownika.

LIST DRUGI.

(Dokończenie.)

Ojciec i matka ks. Augusta Jabłonowskiego młeli także wielkie dziwactwa, które mogły spaść dziedzictwem na syna. Książę wojewoda Nowogrodzki, lubo mąż uczony (między innymi kupił Czarnolesie i zachował reszty domu Jana Kochanowskiego), wszelako przewrócony miał umysł pychą i otaczaniem siebie poszanowaniem i ceremoniałem panującej osoby¹⁾. Owdowiały i wydawszy już córkę za

księcia Sapięę, pojął w powtórne szluby księżniczkę Woroniecką, z którą miał wspomnionego wyżej syna, a samo to ożenienie odbyło się w sposób szczególny. Późniejsza księżna, wojewodzina Nowogrodzka, chociaż pochodząca z Jagiellońskich książąt, ale uboga (oddawna już Woronieccy byli rodziną podupadłą i zubożalą), bawiła jako panna respektowa w Białym-Stoku u hetmaństwa Branickich. Zdarzyło się, że przyjechał tam książę Jabłonowski, pan wielki, kawaler orderu ś. Ducha, orła białego, etc. przyjmowany z wielkim, jak należało szacunkiem. Kiedy jednego poranku przechadzał się sam jeden po alei pięknego Białostockiego ogrodu, fraucymer pani Branickiej, ze zwyczajną niewieścią ciekawością zabiegła mu kilkakrotnie drogę, ażeby spojrzeć na tak wielkiego pana. Książę to spostrzegł, zatrzymał się, wśród kilkunastu panien jedna ściągnęła bardziej jego uwagę, na tę skinął, ażeby się zbliżyła. — Kiedy drżąca dziewczyna przystąpiła — „jak się Waćpanna nazywasz? — zapytał książę — „księżniczka Woroniecka“ odpowiedziała: — „księ-

1) Powinna uchodzić za ciekawy szczegół obyczajów krajowych owa monomania czyli cząstkowe obłąkanie umysłu, którego przykłady na kilku naszych magnatach przytacza podanie. Tron elekcyjny stojąc ciągle tuż przed ich oczyma, opanowywał ich wyobraźnią, i rzeczy, której była możność osiągnięcia z osiągnięciem już rozłączyć nie umieli. Gdybym kiedy pisał romans narodowy, wprowadziłbym taką figurę u nas snadnie tradycyjną, bez przykładu gdzie indziej. —

Kieserlich

żniczka Woroniecka“ — powtórzył i zamyslił się przez kilka minut. — „Bądź Waćpanna po jutrze — rzekł nakoniec — o téj godzinie w tym a w tym kościele, a jeżeli się to Waćpannie podoba, ja szlub z nią wezmę.“ — Zdumiona panna ukloniła się uniżenie, wyjąkała jednak wątpliwość, czy też księżę Jegomość niechce jój tylko sprawić konfuzyi? a ten zaręczywszy ją raz jeszcze, że może na jego słowie polegać, odwrócił się i udał do pałacu. Na naznaczoną godzinę księżniczka była gotową w kościele, a także i księżę nie chybił przybyć. Indult już był przywieziony, dano im szlub, a zaraz z kościoła księżę wsadził żonę do karety i wyjechał z Białego-Stoku. Był zwyczaj na dworze Branickich, że każda z panien respektowych brała posag od kilku czy kilkunastu tysięcy złotych. Te oddano nowéj księżnie Jabłonowskiej, a kiedy magnat nie chciał ich przyjąć, wrzucono do karety, skąd garściami biorąc pieniądze, wyrzucali je księstwo między żebractwo i lud Biało-Stocki. Pojawszy takim sposobem żonę, a nawet żonę wysokiego niewątpliwie urodzenia, choć ubogą, księżę Jabłonowski, nieuznawał jój całkiem godnej siebie; sypiała nawet nie z nim razem, ale na niższej pościeli, przysunionej do jego wysokiego łoża; po urodzeniu dopiero syna, przyjął ją do swego boku. Co dziwne, to to, że ta sama osoba, cierpiąca dziwactwa męzowskie i przez cały ciąg jego życia skromna i potulna, po jego śmierci przejęła wszystkie jego śmieszności, zmuszała domowych i innych, będących w jój obecności, obchodzić się z nią, jak z ukoronowaną głową, dawała posłuchania na tronie, nie pozwalała do siebie mówić: Księżno Pani, ale tylko Księżno Imperyi, i podobnie. W najpilniejszym interessie nikt nie mógł jój widzieć bez długiego oczekiwania pozwolenia wnijścia. Przed natrętami obu rękoma zakrywała twarz, jako niegodnemi widzieć jój oblicza. Na balach dawanych nikt nie śmiał zamawiać ją do tańca, ona sama wybierała kawalerów. W pokoju, gdzie przyjmowała gości,

był tylko tron, na którym siedziała, żadnego zaś innego siedzenia; jeżeli przyjechała do niej jaka sąsiadka w odwiedzinie, pierwsze jój zapytanie było: czy ma dzieci, a jeżeli odpowiedziała, że ma, kazała jój przynieść stołek i pozwalała na nim usieść, mężatki bezdzietne otrzymywały wezwanie oprzeć się o ścianę, panny musiały stać prosto. Tymczasem pałac téj księżny imperyi był bardzo skromny, niski i smutny murowany budynek, służący teraz za oficynę przy domie Steblowskim; niegdyś sala tronowa, jest teraz stolarnia. Dom mieszkalny Steblowski jest zrobiony z arsenału księcia Kozaka; tu chowały się jego siodła, sukna na okrycie kozactwa, ich broń i prochy. Dawniej jednak jeszcze dwór był gdzieindziej; tam, gdzie dziś bożnica żydowska, był to horodok, otoczony palisadą. Gdzie dziś jest brama, wiodąca do pięknie ubranego krzewami dziedzińca, stał loch, czyli podwał, z którego nabiegli hajdamacy, wytaczali kufy wódki. Rozповідаł mi to żebrak 90letni, świadek tego naoczny, pamiętający wybornie, jak ustawicznie hajdamacy nachodzący od Smily, zabierali tutejsze trzody. Zresztą niektórzy myśla, że młody Jabłonowski puścił się na owo kozactwo w celu odzyskania strat, które poniósł w czasie małoletności swojej, przez przywłaszczenie i wparcie się w jego dobra sąsiadujących z nim posiadaczy. Rozciągał swoje pretensye do Olszany i innych; można powiedzieć, że uorganizował on był swoją hajdamaczyznę, jak inni watażki. Najeżdżał ciągle to Smilańszczyznę, to Korsuńszczyznę, bił i sam bywał bity. Dla tego nawet, jak jakiś Chaktas lub Cherokoes amerykański, co się zaprawia znosić boleść fizyczną, kazał się bić nahajami własnym kozakom, a później złapany od kozaków Smilańskich lub innych, wytrzymał pletnie, nie przyznając się, kim był. Słyszałem jeden szczegół tych zajazdów, że zachwyciwszy wielkie stado księcia Poniatowskiego, pasące się na stepach Korsuńskich, nie przywłaszczył go sobie, ale przez daremną szkodliwość, kazał poobcinać dol-

na wargę wszystkim koniom, wiadomo zaś, że to stado było wysokiej wartości co do krwi i dobroci. Książę August Jabłonowski był rotmistrzem w wojsku polskiem. Kiedy już był chory, ulubiony, jego kozak, poradził mu, żeby odpędził lekarzy, a kurował się po kozacku, zjedzeniem krutój kaszy, to jest, kaszy jaglanej gęstej. Najadłszy się tego kozackiego specyału, umarł.

W dzisiejszém Steblowie miejsce tych dziwactw i szalów pychy, zajęła najprzeciwniejsza im i uprzejma gościnność, otwartość, prostota i swoboda wykształconego towarzyskiego pożycia. Zamiast przystępowania do tronu książęcej imperyi, każdy tam przystępuje do kraglego stolika terażniejszej pani tego miejsca i w jej niewyczerpanej i najmiłszej rozmowie, zapomina upływu chwil, a jednak rzetelną z nich korzyść odnosi; bo któż nie wie, jaki wpływ wywiera samo zbliżenie się do wykształconego rozumu i szlachetnego, czystego serca. Dziś w miejscu, gdzie się Zieleńce księcia Kozaka (tak od zielonej barwy zwani) uzbrajali na najazd, kwitnie między oknami mieszkalnego domu a kaplicą, śliczny chiński ogródek, a dalej nad skałami ku Rosi ciągnie się ogród. Jest to jedno z malownych położen naszego kraju, nie tak dzikie i wspaniale, jak w Korsuniu, ale w innym rodzaju piękne. Środkiem ogrodu płynie rzeczka Borowica i przy wpadzie do Rosi, kształci nie wysoki, ale szumny wodospad, Ros sama nie burzy się tu, nie pieni, jak śród zawałających jej łoża skal Korsuńskich, płynie głęboko i spokojnie, a zwracając się zupełnie pod kątem prostym, tuż pod samym ogrodem, otacza go niejako dwoma najpiękniejszemi zwierciadłami wody. Brzegi zaś obydwu rzek są skaliste, ulica nad Borowicą wiedzie pod prostopadłemi, a gdzieś niedzie nawisłemi w grocie ścianami granitowemi. Tym skałom przypatrywał się z zachwyceciem Mickiewicz; nie znał ich w Litwie, tu pierwszy raz spotykał i w spojrzeniach, któremi je mierzył, znać było (mówią towarzysze jego tu tejszych przechadzek) błyszczącą duszę poety. Był

tu Mickiewicz w przejeździe z Petersburga do Odessy, gościł dni kilka; uczucia przyjaźni powzięte dla właścicieli tego miejsca wynurzył w listach, później pisywanych do nich, które się chowają troskliwie w bibliotece Steblowskiej. Jest tu i druga jego pamiątka, łóżko żelazne na którym spał, o czem uwiadomia napis złoty, położony na poręczu.

Mamże dalej mówić o mieszkańcach tu tejszych i nazwać ich po nazwisku? Wzbronić by mi tego powinno, uczucie niestosowności chwaleń w oczy przyjaciół, obawa, że nie powiem według utartego wysłowienia urażenia ich skromności, albo obawa (bodaj się nie sprawdziła) wprawienia ich w nieprzyjemne zadziwienie, kiedy zobaczą, że tajemnice ich domowego życia, wynoszę niedyskretnie na widok powszechny, czego się zapewne niespodziewają i nie życzą; ale jest wzgląd, który wszystkie moje skrupuły przeważa. Obyczaje, albo raczej ogólny stan rzeczy trwał przez wieki wciąż jeden i ten sam. Zostaniesz i tutaj na zawsze to, na co teraz patrzymy?... Przyszłość dzisiejsza niewiadoma i posępna, tém mniej zaufania dopuszcza. Może więc nie będzie bez ceny historycznej pamiątki w obrazie jednego domu zostawić ślad, jakie w tej chwili są jeszcze domy w naszej prowincyi, czem żyją i z kogo się składają? Tém mniej mogę się oprzeć pokusie, wybrania za wzór dom Steblowski, że nieraz myślałem, iż gdybym chciał cudzoziemcowi lub nawet Polakowi z innych stron dać wyobrażenie prawdziwego domu polskiego na Ukrainie, tubym go przywiózł.

Oboje też właściciele Steblowa mają prawo nawet ze względu pochodzenia reprezentować rodzinę Ukraińską. Familia Holowińskich jest z rzędu familii rodowych tu tejszego kraju; mylą się niezmiernie ci, którzy sądząc po mowie i narodowości ruskiej ludu, a ukształceniu polskiem klas wyższych, myślą, że tu tejszy lud a panowie są dwa odrębne narody i że ostatni są wszyscy przychodnie z Polski. Bynajmniej! jest tu

zapewne wiele rodzin pochodzenia polskiego, tych przodkowie lub nabywali tu dobra za pieniądze, lub osadzali puste i bezludne przed nimi stepy, lub przychodzili do posiadłości w tym kraju dziedzicząc po spokrewnionych z sobą tu-tejszych przyrodnich rodzinach. Wszakże ostatnich rodzin odwiecznych i gniazdowych na Ukrainie jest i dziś nie mało. Takimi są Hołowińscy, Proskurowie, Olizarowie, Woronicze, Podhorscy i wiele innych. Są to prawi ojczyce tej ziemi, Rusini odwieczni; Ruś pocziwa, jak mawiał o sobie Orzechowski. Cywilizacja ich polska, mowa nasza, religia Rzymska, nie jest tu żadnym zarzutem, bo właśnie przyjęcie tego wszystkiego (wydatniejsze zawsze i wszędzie na klasach ukształconych, jak na gminie), stanowi różnicę właściwej Rusi od Kozaczyzny, od Moskwy etc. Przez pomieszanie krwi, nabycie pewnej cywilizacji, wyradzają się osobne indywidualizmy narodów; tak z plemienia łacińskiego wyszło kilkanaście ludów; z germańskiego to samo; Saxończycy są w Dreznie i Saxończycy pomieszani z Normanami, są Anglicy. Rusini tu-tejsi są oddawna Polacy. Przeciwnego błędu dopuszczają się niektórzy, a między nimi wiadomy powieściopisarz, którzy w szlachtę tu-tejszą wmawiają jakieś czyste kozactwo. Fałsz to wielki, umysłny, a nadaremny. Historia dziejów i obyczajów polskich, z największą jasnością pokazuje, jakim się sposobem rozszerzył tutaj wpływ ostatnich tak łatwo i tak gruntownie. Znakomite tu-tejsze rody nie tylko, że były starożytne, ale niektóre pochodziły nawet wprost od rodzin panujących w tym kraju, od Książów na osobnych dzielnicach, rozrodzonem potomstwie książąt upadłych po ujarzmieniu tatarskiem. Genealogowie nasi pięknie tłumaczą przyjęcie przez te rody równości obywatelskiej, skutku koniecznego cywilizacji polskiej: „*Deposuit pallium principis, ut praesit libero civi.*“

Potomkiem jednego z takich domów jest p. Herman Hołowiński, a w jego żonie płynie krew znakomitego i nieszczęśliwego Jana Wyhow-

skiego, hetmana Zaporozkiego, wojewody Kijowskiego, lubo podana jej przez polskie i litewskie domy Krasickich i Borejów. Oprócz tego pochodzenia ruskiego pani Emilii z Borejów Hołowińskiej od Jana Wyhowskiego i syna jego ożenionego z księżniczką Solomereką, wzmaga się ona jeszcze przez pokrewieństwo jej z jedną z rodzin najslawniejszych właśnie w dziejach kozaczyzny, z rodziną książąt Rożyńskich, przez zaślubienie Piotra Borejki, kasztelana Zawichostkiego z Rożyńską (a nie Rusińską, jak mówi Niesiecki, bo dowodzi to oryginalny dotąd dochowany jego testament). Tego Borejkę, kasztelana Zawichostkiego, niewiadomo, dla czego Gołębiowski umieścił w rzędzie najslawniejszych pijaków w Polsce. Podania, które o nim przytacza, zupełnie są niewiadome w jego familii. Był to owszem sławny wojownik. Portret jego jest w zamku Pikowskim i dotąd o nim na Podolu śpiewają lirnicy. W okolicy Sołobkowiec, miejscu, gdzie nieszczęsna była dla Borejki bitwa, można do dziś posłyszeć pieśń gminną o tem zdarzeniu i wiersz, gdzie kasztelan wystawiony jest zraniony: „Nieszczęstnemu Borejowski krew iż boku tuze.“ Te szczegóły genealogiczne przytaczam zawsze w jednym zamiarze, zapoznania czytelnika nie z samym widokiem zewnętrznym kraju, ale i z ludźmi, którzy z nim żyli kiedyś i żyją teraz i mniemam, że służą do dania wyobrażenia, z jaką historyczną przeszłością są w związku rody mieszkańców tej prowincyi. Dla obrazu zaś obecnego obywatelstwa Ukraińskiego z najpiękniejszej jego strony, wyliczę uprzejmą i szczerą tu-tejszą gościnność, szanowanie staropolskich związków, przyjaźni i sąsiedztwa, prawosć, pobożność, obywatelskie pobudki każdej najmniejszej czynności, rząd łagodny i sprawiedliwy nad poddanymi, (co dostatek wiejskiego ludu najdowodniej poświadcza) miłosierdzie i szczerobliwość dla ubogich, tak, że w dzisiejszych czasach tak często wywołujących te cnoty, ten dom można wzięść za prawdziwy bank biednych, rzetelny *mons pietatis*.

tis. Dziedzic miejsca zebrał i zbiera szacowną bibliotekę; nie jest ona ogromna, ale w dobór książek polskich dostatecznie opatrzona; są tu bardzo dawne i rzadkie druki, są tu nieznanome gdzieindziej rękopisma i zbiór autografów. Można się łatwo domyśleć, że ten zbiór jeden zapewne z najszacowniejszych, a może nawet najszacowniejszy w Ukrainie, jest dla mnie silną przynętą. Wolno mi nieraz było korzystać ze zgromadzonych w nim skarbów i z więcej jeszcze może naucej rozmowy ich właściciela, który dla dokładnej znajomości osób i rzeczy swojej prowincyi, dla wyborniej pamięci i daru opowiadania, jest zapewne jednym z tych ludzi, których towarzystwo nadewszystko przeniesie ten, co zna cenę wiadomości o własnym kraju i o rzeczach swojskich domowych, trudnych do dostania, bo nie złożonych w książkach, ale w pamięci i zdaniu ludzi, którzy mieli czas i umieli je zebrać. Innego rodzaju, ale nie z mniejszym powabem była zawsze dla mnie rozmowa z panią domu, której piękne wykształcenie, ton najlepszy, znajomość mnóstwa osób należących do pierwszego towarzystwa kraju, ożywiały konwersacją całym skarbem ciekawych anegdot i zajmujących opowiadań. Długie nawyknięcie gospodyni polskiej, zmuszonej koniecznie bawić gości, zaciągnięte nawet jeszcze w tej porze, kiedy w bardzo uczęszczanym domu rodziców musiała się do tego usposobić, pozwalało jej z największą łatwością wywiązywać się z tej roli, a właśnie to, że względem tylu osób miała ją zręczność wypełniać, nadało niepospolity powab i zajęcie jej rozmowie. Jakoż między osobami poufale jej znajomymi i o których ma do powiedzenia, są znakomici i sławni ludzie, że wspomnę tu tylko Jana Potockiego, trochę dziwnaczego, bo zapalonego do swego przedmiotu badacza Zoriana Chodakowskiego, Tomaszewskiego, autora Jagiellonidy, nującego poetę, a rozległych i ciekawych wiadomości człowieka. Nieraz siedząc przy tym okrągłym stoliku, o którym już raz wspomniałem i

o którego nie tak często pozwala się oddalać gospodyni Steblowa, jej zdrowie, jakby tego sobie jej sąsiedzi życzyli, zdało mi się, że czytam jaki z tych pamiętników kryślących towarzyskie życie naszego kraju, których na nieszczęście nie mamy, a które tak są zajmującą (może jedyną zajmującą) częścią literatury francuzkiej. Migaly przedemną żywe znajomości ludzi i świata dowodzące obrazy; inną razą lubilem słuchać wylewu najszlachetniejszego, ale bez exaltacyi sposobu myślenia, głębokiej czułości, gruntownej pobożności, które naprzemian podsycaly tę rozmowę. Dawaly jej czasami bardziej literacki obrot, leżące na stoliku książki i nowości polskie literatury ojczystej tak bujnie zakwitającej; lecz niestety, mamże wyznać, tu obok na ścianie przy oknie, jakby dla przypomnienia stanu téjże literatury, wisiał i portret Balzaka. Nieśmiałem spotykać jego gniewliwych (tak mi się zdało) spojrzeń i odwracałem je na umieszczony przeciw niego odcisk rysów szanownego Ursyna w medalionie według pierwotworu Dawida.

To mile towarzystwo pomnażają dwaj zwyczajni domownicy Steblowscy; pierwszy krewny gospodarstwa, wesóły, dowcipny, najzacniejszy, znajomy z całą Ukrainą i Wołyniem i zarówno kochany wszędzie, gdzie był znajomy. Nosił broń w 1809. r., a świadomy obyczajów dawniej Polski, nie tyle sam przez siebie, jak, że żył z tymi, co je jeszcze pamiętali, co do nich należeli, jest moim w tej mierze nauczycielem i da Bóg, że go namówię, iż i dla drugich je zapisze w pamiętniku, który zaręczycie mogę, że będzie ciekawy i ułożony z talentem, na którym że mu nie zbywa, dał już tego dowody. Drugi J. W. z dziada i pradziada żołnierz polski, namiestnik kawalerji narodowej, po organizacyi wojska przez kommissyą wojskową i uczestnik kampanii 1792. roku. Wiek, który zaczyna się coraz głębiej od nas usuwać, nie mógł zostawić po sobie przedstawiciela, chlubniej go zalecającego: prawy, zacny, po-

bożny, dowodzi on, że oświecenie wyższe nie obcem było w jego wieku, że zasady stałego i szlchetnego charakteru nie znikają od powietrza dni naszych. Wiek tego szanownego męża (bo przeszło 70 lat liczy) rozbudza sam przez się ciekawość względem tego, czego mógł być naocznym świadkiem, a ciekawość ta tym większa, że od młodości usposobiony był na światłego i uważnego widza. I tego namówiłem do powierzenia papierowi swoich pamiątek, jakoż niektóre szczegóły napisał, inne ja bez jego wiedzy troskliwie notuję. Jemu winieniem szczegóły o Teterze, które wyżej umieściłem, jego domysły względem niektórych miejsc tej okolicy, tuż niezabawem przytoczę, z innych od niego nabytych wiadomości nieraz jeszcze skorzystam. Zresztą oprócz zatrudnień, z których z niechęci do nieczynnego życia ciągle się poświęca, oprócz oodawania się poważnemu czytaniu, ile mu wzrok pozwala, namiętnością jego są badania starożytnicze i wszystko to, co mu do nich w okolicy daje powód, na własność to swoją zabrał. Nieprzestają go zajmować miejscowe topograficzne poszukiwania, mogące objaśnić ową klęskę hetmanów naszych pod Korsuniem. Ow szczegól, który uchodzi uwagi naszych historyków (nieświadomych pospolicie miejscowości) dla czego Potocki w odwrocie od Korsunia do Bohusławia nie szedł prostą i równą drogą, ale jarami? — on objaśnia domysłem, że wybrał ten niedogodny i fatalny kierunek, w zamysle zabezpieczenia jednego boku swego korytem Rosi; on naznacza pewne miejsce tej bitwie, obojętnym wyrazem w „krętych jarach“, od historyków naznaczone, a która według niego zaszła na posadzce dzisiejszej wsi Wyhrajowa, której nawet nazwisko zda mu się i z wielkiem prawdopodobieństwem, nadane od tryumfującego kozactwa. Zresztą, mogiły okoliczne, są zwyczajnym celem jego przechadzek, i nie mogłem raz usłyszeć bez rozczulenia, kiedy mi mówił, że na nich zwyczajnie duma z największą lubością i zapomina zbliżenia się

wieczoru, który go do powrotu zniewala. Między tém marzeniem o późnej dobie, mogiłami pozostałymi po dawnych wojnach i żołnierzem jednym zapewne z ostatnich wojska, którego dawno już niema, był wielce melancholiczny stosunek.

K R Y T Y K A.

Pamiętki J. S. Soplicy, wydanie powtórne. Paryż 1842.
(Ciąg dalszy.)

Musito jednak narodowość z Boskiego być ustanowienia, musito ciężkim być grzechem, czy ją wydzierać drugim, czy zbyć się własnej rozmyślnie, skoro sam Pan Bóg na swych wybranych zostawia wyraźne jej piętno. Figura X. Marka poraz pierwszy występuje przed nami w swem świetle; niemógł jej pojąć, chociaż wielki artysta, przecie, że filozof osmnastego wieku, Rulhiere: ale X. Marek pana Soplicy oddany z tak miłośną szczerotą, jak gdyby obyczajem chrześciańskich malarzy, kreślił go autor, klęcząc i modląc się, i na ideał przez przyzmę łez pozierając.

Skorośmy rzecz zaczęli o barskiej konfederacji, a imię Rulhiera pod pióro nam nadbiegło, nie będzie niewczesnem przymierzyć do jego historyi wspomnienia pana Soplicy, ma się rozumieć pod artystowskim względem, o ile mówią o jednychże wypadkach i o osobach. To zbliżenie rozwidni ich zobopólny widnokrąg, a zarazem nastrończy nam porę oddania hołdu najgorliwsiemu z obcych, najbieglejszemu ze wszystkich pisarzy polskiej historyi; meżowi nie dosyć u nas cenionemu, niewiem, przez nieznamość, czy niewdzięczność; nie dosyć w ojczyźnie własnej, może z błahego powodu, że pisząc o nas jedno z najpiękniejszych dzieł piśmiennictwa francuzkiego, musiał je upstrzyć trudnemi do wymówienia nazwiskami. Poczniejmy od wyświecenia stanowiska Rulhiera w literaturze historycznej.

Wiadomo, że dotąd objawiło się dwojakie pojmowanie przeszłości, z czego się wyrodziły dwie główne metody historyczne: pierwsza bada człowieka, typ absolutny, którego szuka w wielkich indywidualnościach okresu, postępując w tem dziele bądź przez ciągłą analizę charakterów, bądź przez obrazowanie wypadków, wysadzające naprzód znakomitsze pojedyncze postacie; jestto metoda storożytna, której dwa dopiero co rozróżnione sposoby widać najlepiej na dziełach Tacyty i Liviusza: druga rozpatruje się w społeczeństwach, poszukując ich myśli religijnej, ruchu umysłowego, jak się wyraził przez filozofią, przez pra-

wodawstwo, przez sztukę; a wypadki brane massami, odnosi do praw stałych, czy to je widokami Opatrzności, czy logicznym pochodem rozumu przezwie. Przed okiem tej metody, pojedynczości maleją, człowiek i przypadek skończyli razem swe królowanie: człowiek bywa już tylko potrzebą chwili, wyrazem ogólnego rozumu w dawnym czasie i miejscu, szczęśliwą okolicznością. Ta metoda mogła się narodzić aż w dojrzałości świata; jakoż starożytni pisarze ani domysłem jej niezaznali: Bossuet miał jej widzenie, Gibon i Robertson, dali jej próby pod wpływem innych wyobrażeń; a dopiero w wieku dziewiętnastym, Hegel ustawodawcą, Guizot jej Tacytem. I w świecie wyobraźni odbywa się podobna przemiana: myt zbiorowy następuje po osobowym, legendy o rasach wchodzą na miejsce dawnych o Alexandrze, Karlu, Arturze. Walter Scott jest opowiadaczem nowej legendy: w jego romansach bohaterem jest cała epoka, osoby znamionami jej niezmiernego oblicza. W historii rozumiemy, że obie metody przetrwają, bo jedna drugą dopełnia, i ostatecznie są to dwa względy tejże samej nauki — pojęcia człowieka. Ale pierwsza może być użyta na razie, do przebiegających wypadków; druga musi patrzeć z wysoka, a zatem w pewnej od nich oddali: liczba takich historii pojedynczych, analitycznych, osobowych, posłuży później za materiał do historycznej syntezy.

Rulhiere jestto historyk starożytnej szkoły, blizki pokrewny Liwiusza. W tym rzędzie historycznych pisarzy stoi na czele w literaturze francuzkiej, nie samym talentem, ale i losem do starożytnych podobny, bo także tylko wspaniały fragment zostawił; a na domiar zbliżenia, krytyka pracowała nad jego tekstem, i zaprzeczała mu pewnych części dzieła. Nikt uczenia stylem nie władaj, nikt zręczniejszy nie chwytal, nie oddawał wybitnej rysów nawet tak mieniającej się twarzy, jak była Stanisława Poniatowskiego. Rzecz dziwna! sam tytuł *Historja bezrządu w Polsce* niby ostrzega, że autor mierzył swój przedmiot nie jak poeta i entuzjasta, ale ze stanowiska dostrzegacza z wyższej cywilizacji: a przecież umiał mu nadać tak epopejne rozmiary. Dziwna, że pod piórem człowieka obdarzonego tak wielkim zmysłem krytycznym, ludzkie, co mieliby maleć, to owszem rosło w olbrzymie kształty. Cóżto za posagowe postacie dwóch braci Czartoryskich, możnowładców i statystów! Jakże nienowoczesna figura ów Branicki, pan i dygnitarz wsparty na miłości powszechnej, starzec na rozkosze wylany, a przecież większej czerstwości woli, niżli ją znajdziesz w pustelnikach dzisiejszych. A Malachowski nosobienie cnoty i powagi, a Mokronowski, w Krasickim za poczciwego *Pana Jędrzeja* znany, tu świetny wyobraziciel rycerstwa, dyplomacyi i zalotności! Rulhiere pisał panegiryk; nowy Izokrates pisał go lat dziesiątek, i zmarły jego Ateny, nim on dokończył obrazu. Myśl pochwalną ukrył głęboko: czło-

wiek zachodni, ilekroć sam przemawia, pamięta na swe obowiązki względem rozumu; republikanów kocha przez jakiś pociąg tajemny, czy przez wspomnienia klasyczne, czy przez odrazę, jaką w nim budzi zblizka widziana dworszczyzna; nie śmie ich nie naganić, ale ich pokazuje wielkimi. A któż był znowu straszniejszym dla nieprzyjaciół naszych? Wszakże to Rulhiere podał Europie ich rysopis, którego się ona wyuczyła na pamięć, a na którego wzmiankę rumieniec im występuje na czoło. Jeśli jest wada w tem dziele, to, że mimo kunsztowne cieniowanie pochwały, tak ją nam hojnie odmierzył autor, że ledwie czytelnik wyjdzie z pod czaru jego opisów, musi zapytać, jakim sposobem, przy takim doborze ludzi, Polska zejsć mogła do najopłakańszych rezultatów? Jakoż w istocie, to chyba się daje tłumaczyć owem prawem statyki o siłach równych pomiędzy sobą, a działających na przeciwne kierunki.

Obaj pisarze Rulhiere i pan Soplica, zostawili nam Radziwiłła Panie Kochanku swojego pęzła. Rysunek jednako trafny; ale koloryt, co niezna pewnych prawideł, tylko wprost od indywidualności malarza zawisł, jest naturalnie tak różny, jak różni są Cześniak Parnawski, a poufały dworu Wersalskiego i dyplomacyi Europejskiej. Dla Rulhiera musi być Radziwiłł barbarzyńcą; dworak filozof ukochał naszą społeczność szlachecką, ale niemógł ni przedzierzgnąć tak siebie, ni tyle się wtajemniczyć do naszej cywilizacji, aby miał bandę albeńską za kwiat narodu uważać, a spalenie, lub wypędzenie szlachećca za niewinną igraszkę. Dopiero, kiedy przychodzi do wydania uczuć patryotyzmu i poświęcenia na tej fizynomii, której zkądiną nierozumiał, Rulhiere przesadza pana Soplicę śmiałością zarysów i podniosłością tonu. Niepopelnim śmieszności, abysmy mieli politykę pana Soplicy roztrząsać, i zawodzić z nim o to spory; bo wiemy, że zdania jego w tej rzeczy są obmyślanym owocem artystowstwa. Zamiast brać Radziwiłła ze swego podmiotowego stanowiska, i własny sąd o nim na jego twarzy wyrazić, wołał pan Soplica stanąć sam wskroś stolecia, zachwyć powietrza, barwy, woni przedwiekowej, i siebie ukrywając, wystawić nam żywcem magnata, z jego orszakami albeńczyków, z jego myślą i giestem, z sądem, jaki o nim społeczeńi mieli, z epoką jego.

To jest prawdziwe czarodziejstwo; ale jeśli było szczęśliwie użyte do oddania humorystycznej Radziwiłła figury, do skreślenia obrazów potocznych sejmikowego i domowego życia, mamyż powiedzieć, że się lękamy, aby to zrzeczenie się podmiotowego sądu, to zaparcie dzisiejszego stanowiska, to przeobrażenie dostojnej myśli dziewiętnastego wieku w pana Soplicę, nie było jej na wstręcie do malowania osób i rzeczy wielkich, co już z praw perspektywy niemogą być dobrze widziane od zbyt zblizonej źrenicy. Tak jest, jeśli się autor uprze widzieć i sądzić w o-

bie pana Soplicy, a z niej nie zrobi allegoryi, ale zachowa jej rzeczywistość szlachcica ośmnastego wieku, będzie przywiedziony koniecznie do ubogiego, jednostronnego widzenia, przed którym ujdą co znaczniejsze postacie, bo te górują daleko nad ocznym promieniem palestranta: autor usprawiedliwi przenikliwe ostrzeżenie Stefana Witwickiego, który mu radzi, „aby nieszcukał ducha i tonu polskiego w tem jedynie, co junackie i rubaszne. Przywiedzenie prawd historycznych o położeniu ludzi znaczących w staropolszczyźnie, o jednym świetle, w jakim umiało ich oddać piśmiennictwo krajowe, upoważni nasze obawy.

Rzecz niewątpliwa, że każdy naród, przeżywszy jakiś lat przeciąg, wyrabia w swym duchu, w widzeniu rzeczy, w zewnętrznym okazie, pewne prawidła zwyczajowe, pod które z czasem najniepodleglejsze umysły nagina. Tak w Hiszpanii, długie, prawie pojedynkowe, a zatem wznoszące indywidualność z Maurami wojny, dalej cudowne odkrycia i podboje, skarby nie jako późne owoce trudu, ale jako trofea śmiałości, wszystko to ukształtowało w pojęciu, w uczuciu, w ułożeniu, tę przysadną wystawność, wiernie odbitą w rodzinnej literaturze, i naśladowaną blisko dwa wieki po dworach europejskich. Z niejto pochodził jeszcze Ludwik XIV., któremu za wszystkie talenta stanęła majestatyczność, co go nieopuszczała nawet gdy się do snu przywodziwał, co mu nieukowi dała natrafiać piękno w sztukach, administracyi, polityce, w uroczystej chwili natchnęła to uszczytne słowo: „Niema już Pyreneów, i od jego osoby rozpromieniła na cały naród uczucie i ambit wielkości, zapaliła plejady wojowników, sztukmistrzów, pisarzy, a przetrawiona w charakterze francuzkim, rozlała znów na Europę wpływem gustu i grzeszczoności. Postawmyż obok z Ludwikiem jedną z najwspanialszych historycznych postaci, człowieka nieskończonego wyższego osobistemi zdolnościami. Ostatni król chrześcijański zamknął i uwiecznił wojny krzyżowe zwycięstwami pod Wiedniem i Strygoniem: jakżiż on to wpływ wywarł na umysłową i artystowską Polskę? Największy czyn z dziejów nowożytnych, jakichże to miał historyków i pieśniarzy? Cóż Polska umiała o nim powiedzieć, prócz, że gadala pół wieku potem: Król Jan nieboszczyk fulmen orientis? On sam, czyliż mówi jak wielki człowiek, czy ma język swojego stanu, opowiadając swe czyny w listach do Marysienki, gdzie rączki papy d'Arquin całuje?

Niepomaluby taki się mylił, kto by przeciwność dwu tych fenomenów do różnicy warunków władzy odnosił. Mówiąc o Ludwiku XIV., o Janie III., niechcieliśmy porównywać królów: idzie o wpływ człowieka, panującego nad społeczeństwem, czy godnie utrzymywaną pierwszą pozycyą, czy, co jest więcej, potęgą swojej osoby od-

zwierciedloną w sławie. Więc w tem trafunkowem zbliżeniu, Sobieskiego stanowisko jest korzystniejsze; czemuż przypisać jego tak marny wpływ na społeczność polską, oglądając się zwłaszcza na europejską wszechdzielnosć Ludwika? Oto wyznać potrzeba: w Polsce wielki czyn głuchnął w cześci. Pochodzi to z natury umysłowości polskiej, której główne znamiona schwycawszy, nie trudnoby już było wyjaśnić wiele tajemnic historii i literatury ojczystej, a następnie przyjsć do pewnych prawideł przewodnich w zdejmowaniu wzorów polskiego przedmiotowego świata.

Rzuciliśmy przodem wspominkę o piętnie narodowem hiszpańskiem, i z pomiędzy licznych charakterów ogólnych, bądź brzegami pewnego kraju objętych, bądź wylewających na postroniu, wybraliśmy raczej ten a nie inny, jako najzupełniej przeciwległy polskiemu. Tam wszystko podniosłe, wystawne, nieco teatralne, ale dziwnie do epopei lub dramatu przydatne; jestto kraj romanseru, kraj okwity najbujniej w dramatyczne postacie: tu wszystko rozsądkowe, rubaszno-jowialne, nie butne w chęciach; całe słowo tego społeczeństwa zmieści się w przysłowiach i przypowieściach. Jakoż zbiór przysłowiów odświeżany z każdym stuleciem języka, i autor, co z nich budował swe dzieła, Rej z Nagłowic, pisarz nieuczony, pisarz gadek i przypowieści, stanowią istotę literatury narodowej. Prócz tego kwiatu skromnej woni i farby, nie ta szczerokrajowe nie zjeżdżie. Oto Bolesław Chrobry niemógł wuczyć tego plemienia do podboju; plemię to już mieć nie będzie epopei. Jego historia nie przedstawia gry namiętności tegich, co mu zapewne wiele zbrodni oszczędzi, z czego się będzie chlubiło, jako i z nietykania sąsiedniej własci; ale z blakownych dziejów nie wybije dramat narodowy. Napotykaue tu i owdzie wyrazistsze postacie, nie posłużą za wzory: bo te się wyradzają nie z przypadkowych typów, ale z ogólnych, po wszystkich warstwach społeczeństwa odbitych.

Pospolitym to bardzo błędem, nierozumieć stosunku społeczności bohatera, polityka lub artysty; niewiedzieć, że tylko wzajemne przez się pojęcie osoby i społeczeństwa, może wydać tę górującą jednostkę, którą zowieśmy wielkim człowiekiem. Powstanie ktoś możny czynem, zjawi się sztukmistrz zawołany, tak z razu jesteśmy olśnieni blaskiem owej postaci, że przesadzając bezmiernie jej pojedynczą siłę, niepytamy, jak tam za bohaterem jest w narodzie ogólna żądza i rozumienie wielkiego czynu, za artystą jasne widzenie wypadków i osób, lub zakonywanie powszechne jakiejś lirycznej nuty, którą sztukmistrz dopiero w pełni osi obejmie i wyda.

ciąg dalszy nastąpi.